

A black and white photograph of a spider on its web, with a human skull visible in the background. The spider is positioned in the center, and the skull is partially obscured by the web's threads. The overall mood is dark and ominous.

MAREK STELAR

CZY CZŁOWIEK RODZI SIĘ POTWOREM,
CZY SIĘ NIM STAJE?

KĄTNIK

FILIA

MAREK
STELAR

KĄTNIK

FILIA

BUŁECZKI DLA CUKRZYKÓW

– Dzień dobry, czy są bułeczki dla cukrzyków?

Pytanie zadane przez zagląającego przez uchylone drzwi maleńkiej, osiedlowej piekarni staruszka zawisa w jej ciasnej przestrzeni. Czekaający w niewielkiej kolejce ludzie oglądają się; wyjątkiem jest niski, lekko tęgawy mężczyzna o poszarzałej twarzy, który stoi już przy kontuarze i przed chwilą kupił chleb. Nie podnosi nawet głowy.

– Tak, zostały trzy – odpowiada ekspedientka, młoda dziewczyna w fartuszkach i piekarskim czepku, zerkając na regał za sobą.

Staruszek wchodzi do środka z uśmiechem, zamyka drzwi i ustawia się na końcu kolejki.

– Czy coś jeszcze dla pana? – pyta dziewczyna mężczyzną przed sobą, kładąc na ladzie pieczywo.

– Poproszę jeszcze trzy bułki dla cukrzyków.

Zapada cisza, dziewczyna sztywnieje. Mężczyzna podnosi głowę i spogląda jej prosto w twarz. Ekspedientka zamiera. W jego oczach jest coś, co sprawia, że czuje w głowie pustkę. A może właśnie nie ma w nich niczego.

– Poproszę jeszcze trzy bułki dla cukrzyków – powtarza mężczyzna głośno i wyraźnie.

Ekspedientka natychmiast sięga na półkę. Pakuje do foliowej torebki ostatnie bułki, zawiązuje ją i rzuca na ladę, jakby parzyły. Przejżdżają po blacie kawałek siłą rozpędu i zatrzymują się tuż przed mężczyzną. Myśl, że mogłaby przypadkiem dotknąć jego palców przy podawaniu mu ich, napawa dziewczynę obrzydzeniem i autentycznym strachem. Patrzy tylko, jak mężczyzna płaci, potem przechyla głowę, wtyka palec w pętelkę uch foliówki i podnosi ją, przyglądając się bułkom, jakby były czymś nadzwyczajnym. Dziewczyna chce zapytać zwyczajowo, czy może być dłużna grosik, ale nie robi tego. Brak jej odwagi.

Mężczyzna wychodzi z piekarni odprowadzany nieprzyjaznymi spojrzeniami ludzi, nic sobie z tego nie robiąc. Na jego ustach błądzi lekceważący uśmiešek, nie spogląda nawet na staruszka, który stoi jak zamurowany. Kiedy drzwi się zamykają, ludzie zaczynają szeptać między sobą, popatrując na starego człowieka ze współczuciem, ale on nie może tego znieść, mając wypisane w oczach pytanie: dlaczego dopiero teraz szepczecie? Opuszcza głowę i wychodzi z piekarni w samą porę, żeby zobaczyć, jak mężczyzna zatrzymuje się przy koszu na śmieci, a potem rozwiązuje foliową torebkę i wysypuje z niej bułki. Dobia go głuchy dźwięk pieczywa uderzającego o metalowe ścianki. Kiedy tamten odchodzi, przeciera oczy i rusza powoli w tamtą stronę. Dociera do śmietnika i zagląda do niego. Bułki leżą pośród petów, puszek po piwie, opakowań po lodach i są usmarowane załugającymi na dnie pojemnika resztkami kebabu i sosu. Staruszek waha się przez chwilę, czy ich nie wyjąć, może chociaż jedna nadawałaby się jeszcze do zjedzenia, ale uznaje, że to bez sensu, że nic się w końcu tak naprawdę nie stanie,

kiedy powie w domu, że bułek w piekarni nie było. Tężeje, gdy kątem oka spostrzega, że ktoś stoi obok. Odwraca głowę i widzi tego mężczyznę stojącego bez ruchu i przyglądającego mu się takim samym spojrzeniem, jakie miał w sklepie, zabierając bułki z lady.

– Dlaczego pan to zrobił? – pyta go staruszek.

Wargi tamtego rozchylają się z cichym cmoknięciem.

– Bo mogłem – odpowiada skrzekliwym głosem. – Są moje. Kupiłem je i to moja sprawa, co z nimi zrobić: zjem czy wyrzucę. Tak już skonstruowany jest ten świat. Ci, którzy będą pierwsi, przeżyją. Spóźnieni zostaną z niczym. I nie chodzi nawet o to, kto jest silniejszy, a kto słabszy. Chodzi wyłącznie o to, że wszystkim rządzi czas i przypadek. Dziś byłem pierwszy. A jutro? Kto wie?

Staruszek niespodziewanie wybucha płaczem. Nie w głos; po prostu jego gardło ściska spazm, a na dolnych powiekach szklą się łzy.

– Moja żona ma cukrzycę... – wydusza z siebie, ocierając je wierzchem drżącej, pomarszczonej dłoni.

Mężczyzna patrzy na niego nieruchomo i bez wyrazu: w jego bladych oczach jest pustka, otchłań bez dna.

– Dałbym naprawdę sporo, żeby móc się z nią zamienić – mówi spokojnie, obraca się na pięcie i odchodzi, lekko utykając. Po chwili znika w tłumie.

RTEĆ

– Muszę wracać do Szczecina. – Iwona klęknęła na łóżku i wyszeptała te słowa prosto do ucha Vogla.

Kręcił się w nim już od paru minut, więc uznała, że nie śpi, pewnie obudził go ten telefon do niej. Poza tym nie mogła dłużej czekać. Heinrich Vogel leżał na brzuchu z ramionami wciśniętymi pod poduszkę. Było gorąco, nie miał na sobie niczego, więc tatuaż z ptasznikiem widniejący na lewej łopatce prezentował się w całej okazałości i Iwona, zerkając na niego, zdrząła mimo woli. Vogel powoli odwrócił głowę w jej stronę i otworzył oczy.

– Już? – zapytał.

Uśmiechnęła się.

– Jestem u ciebie już ze dwa tygodnie.

– Mówiłaś, że masz sporo zaległego urlopu?

– Owszem, ale... – Spojrzała w okno na las porastający łagodnie zbocza Gór Połabskich po drugiej stronie Łaby. – Miałam przed chwilą telefon. Poproszono mnie o skrócenie go i jak najszybszy powrót.

– Coś się stało? – Vogel zaniepokoił się lekko.

Uśmiech zszedł Iwonie z twarzy.

– Nie wiem jeszcze – wyszeptała, odwracając wzrok.

Vogel uniósł się na łokciach i spojrzał jej w twarz.

– Hej... – Zmarszczył brwi. – Nie mówisz mi wszystkiego.

Iwona westchnęła, ściągnęła z Vogla kawałek poszewki do kołdry, pod którą spali, i owinęła się w nią mimo gorąca.

– W jednym ze szczecińskich sklepów spożywczych ktoś podłożył zatrute słoiki z mussem dla dzieci. Zawierały rtęć.

– Nie rozumiem. Jesteś jedyną, która może zająć się tą sprawą?

Wzrok Iwony był poważny.

– W tym samym czasie ktoś zadzwonił na policję i przekazał informację o tych słoikach. Od razu je zdjęto z półek, zresztą zamknięto cały sklep i poinformowano producenta, ale nie o to chodzi. Parę godzin później na policję trafił list. Przeczytano mi go, zacytuję ci mniej więcej: *Jestem Misza, mogę wszystko, wy nie możecie niczego. A może na odwrót? Pościgamy się? Zagramy w grę w zabijanie? Kto będzie pierwszy na mecie?*. Coś w tym stylu.

Z ust Vogla wyrwał się jęk.

– Skurwysyn... Czyli jednak żyje...

– Nie ma jeszcze pewności, że to on.

– Serio? – Vogel popatrzył na Iwonę udręczonym spojrzeniem.

– Serio. Trochę przypadkiem ta informacja trafiła do CBŚP i do mnie. Służby współpracują ze sobą, to nieustająca wymiana danych. Analitycy z Wydziału Wywiadu Kryminalnego KWP zabrali się do roboty i wyszło im, że człowiek o pseudonimie „Misza”, czyli Mirosław Jacoń, odbył wyrok, a w naszym cebeesiowskim systemie figurował z tej racji, że przewinął się przez sprawę twojego ojca. Prowadziliśmy ją przecież u nas przez krótki czas, zanim przejęło ją ABW.

– Tak się poznaliśmy...

Iwona uśmiechnęła się lekko i spojrzała ciepło na Vogla, ale po chwili jej wzrok znów spoważniał.

– U nas skończyło się niczym, po prostu zamknęliśmy ją w związku z przekazaniem do Agencji i nikt nie wie, że ją rozwiązałeś, mimo że postępowanie w związku ze śmiercią Jaskólskiego wciąż się toczy. Ten dziennikarz, do którego napisałeś list jako Jaskólski, współpracuje ze służbami.

– O to mi przecież chodziło.

– Jacon jest oczywiście poszukiwany i teraz pomyśl: wikałby się w ten szantaż w takiej sytuacji? Czy schowałby się raczej w mysiej dziurze, żeby przeczekać, albo uciekł za granicę?

– On nie jest normalny, przecież wiesz. Poza tym, skąd ma wiedzieć, że rozpętałem taką akcję?

– Nie mamy pewności. Tak jak nie mamy jeszcze pewności, czy pseudonim „Miswa” to nie przypadek. Ale i tak musimy wracać.

– Ja wiem, że to on, Iwona. Po prostu wiem.

– Przemawiają przez ciebie emocje.

– Możliwe. – Vogel przytaknął skinieniem głowy, a potem spojrzał na Iwonę. – Czy... Czy grożą ci jakieś kłopoty?

– Kłopoty? – zapytała.

Vogel widział po jej minie, że dobrze rozumie, o co mu chodzi.

– Jeśli to wyjdzie... Że mi pomagałaś, że zatajałaś ważne informacje dotyczące śledztwa, że prowadziłaś je ze mną nielegalnie...

– Będę skończona – dopowiedziała z udawaną pogodą. – Być może nawet pójdę za to siedzieć. Nie, raczej na pewno pójdę siedzieć.

– Właśnie o to pytałem.

– Może to jednak nie on? – Iwona szczerzej owinęła się poszwą.

– Sama w to nie wierzysz – stwierdził kwaśno Vogel. – Właśnie dlatego cię wzywają. Bo prowadziłaś sprawę.

– To teraz nieistotne. – Iwona wyciągnęła rękę spod materiału i położyła ją na twarzy Vogla. – Nie musisz wracać ze mną, Heini. To ciebie nie dotyczy.

– Muszę – stwierdził Vogel zdecydowanie. – Jeśli to faktycznie on, to i tak nie mogę tu zostać, powinienem być na miejscu. Poza tym, skąd wiesz, że to mnie nie dotyczy?

– Oficjalnie nie masz z nim nic wspólnego. Ukrywaliśmy twój związek z nim nie bez przyczyny, pamiętasz?

Vogel zamknął oczy. Wydarzenia ostatnich miesięcy, te związane z ojcem oraz Miszą i te ostatnie, w Łużycach, wyczerpały go psychicznie. Krótkie wakacje w Szwajcarii Sakońskiej miały być oddechem przed powrotem do w miarę normalnego życia. Teraz wyglądało na to, że nie będzie normalne. Że wciąż została niezłatwiona sprawa. I nie miał pojęcia, jak to się skończy i czy w ogóle.

Wyjechali z Bad Schandau kilkadziesiąt minut później, droga do Szczecina zajęła im niecałe pięć godzin. Jeszcze po drodze Iwona dostała telefon; rozmowa trwała krótko, w jej trakcie praktycznie nie odzywała się, kiwała tylko głową, a kiedy ją skończyła, spojrzała na Vogla poważnym wzrokiem.

– Co? – Zauważył to spojrzenie kątem oka.

– Masz przyjechać do firmy ze mną...

Vogel zacisnął palce na kole kierownicy, jego usta zmieniły się w wąską linię.

– Widzisz? – westchnął ciężko. – Wiedziałem, kurwa. Po prostu to wiedziałem.

Pojechali do siedziby szczecińskiego zarządu CBŚP prosto z trasy. Vogel dostał przepustkę i oboje z Iwoną wkrótce stali przed obliczem jej przełożonego, podinspektora Cieleckiego. Wyszedł do nich z gabinetu i poprosił sekretarkę, żeby poszła roznieść podpisane przed niego pisma funkcyjnarium. Kiedy kobieta wyszła, Cielecki oparł się o kon-tuar, za którym urzędowała.

– No to słucham – powiedział, patrząc na Iwonę w za-myśleniu.

– Co konkretnie szef ma na myśli? – zapytała, czując, jak tężeją jej wszystkie mięśnie.

Inspektor przeniósł wzrok na Vogła, a potem wrócił nim do jej twarzy.

– Nie traktuj mnie jak idioty, Iwona, nie lubię tego – stwierdził kwaśno. – Zaraz czeka was i mnie poważna rozmowa, chcę się do niej przygotować, żeby nie wyjść na durnia, który nie wie, że jego podwładni działają na własną rękę, ukrywając fakty istotne dla postępowania. Sam nie wiem, co jest dla mnie lepsze: niewiedza, która świadczy o mojej niekompetencji, czy udawanie, że o tym wiedziałem, i współodpowiedzialność.

– Będziemy rozmawiać tutaj? – zapytała Iwona.

– Tak, dopóki nie wróci Jola. Tyle masz czasu, żeby mi streścić swoją wersję. A potem przejdziemy do mojego gabinetu, w którym czeka oficer ABW. Zaczynaj, proszę.

Iwona nabrała głęboki oddech.

– Wszelkie ustalenia poczynione na etapie naszego po-stępowania w sprawie Zenona Ptasznika znalazły się w ak-tach. Niczego nie ukrywałam.

– A potem?

– A potem to było już zmartwienie ABW. Wszystko, co odkryliśmy później w związku z udziałem w tej sprawie Jaskólskiego, robiłam w wolnym czasie. Formalnie jestem czysta, tak uważam.

– To ma być wytłumaczenie?

– Poniekąd... – mruknęła Iwona.

– Zawsze uważałem, że dobry przełożony stoi murem za swoimi ludźmi, czasem nawet nadstawia za nich karku. Ale to wyjątkowa sytuacja, Iwona. Zawiodłaś moje zaufanie, pomijając działanie wbrew przepisom, wbrew jakimkolwiek zasadom. Rozumiem, że pan Vogel również brał udział w tym, powiedzmy, nieformalnym śledztwie prowadzonym w twoim wolnym czasie? – Cielecki nie spuszczał z Iwony wzroku.

– Tak. – Spojrzała mu w oczy. – A nawet więcej, to on doszedł do prawdy.

– A jaka jest prawda?

– Skomplikowana. Na swoją obronę dodam, że w tym przypadku liczyło się dobro najwyższe, panie inspektorze.

– Czyje? – Cielecki uniósł brwi.

– Przede wszystkim jego. – Wskazała Vogla. – To była kwestia życia i śmierci i nie chciałabym, żeby pan teraz pomyślał, że dramatyzuję i przesadzam, żeby się wybielić. Tak po prostu było.

Cielecki przygryzł dolną wargę i spojrzał w okno.

– Dobrze – westchnął. – Chodźmy. I tak nas to nie ominie.

Wpuścił Iwonę i Vogla przodem do swojego gabinetu, wszedł za nimi i zamknął drzwi. Przy niewielkim stoliku konferencyjnym siedział jakiś człowiek w jasnym garniturze.

Miał rzadkie blond włosy, czerwone policzki i obgryzione paznokcie, co Vogel zauważył niemal od razu, zajmując w milczeniu krzesło naprzeciwko niego. Blondyn siedział w dość swobodnej pozycji, bokiem do stołu, z nogą założoną na nogę, trzymając się za kolano.

– To pan major Urbanek ze szczecińskiej delegatury Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego – dokonał prezentacji Cielecki, siadając na swoim miejscu. – Bardzo proszę, panie majorze.

Urbanek zmienił pozycję, zdejmując nogę z uda i odwracając się wprost do Vogla i Iwony. Oparł się łokciami o blat i splótł palce, a jego twarz rozjaśnił błady uśmiech.

– Powiem tak: sytuacja jest bardzo dziwna – zaczął. Miał lekko chrapliwy głos niepasujący do młodego wyglądu. – Wygląda na to, że śledztwo prowadzone przez wrocławską delegaturę ABW w sprawie śmierci jej byłego szefa, pułkownika Dariusza Jaskólskiego, wszczęte po informacji od dziennikarza śledczego, powinno zakończyć się już dawno temu...

– A nie zakończyło się? – zapytał obojętnie Vogel. – Zdaje się, że dziennikarz dostał komplet informacji do tego potrzebnych.

– To prawda, jest tam wszystko, przyznaję, problem w tym, że wciąż nie możemy namierzyć osoby, która skonstruowała ten misterny plan. Mówię o człowieku nazwiskiem Mirosław Jacoń. Pan jest synem Zenona Ptasznika, prawda?

– Tak. Co z tego?

– Pan pyta, co z tego? – Urbanek spojrzał na Cieleckiego, jakby szukał u niego pomocy, ale inspektor miał kamien-

ną twarz. – List Jaskólskiego do dziennikarza został razem z załącznikami wysłany po śmierci pułkownika.

Vogel wzruszył ramionami.

– Nie znam się na tym, ale może nastawił automatyczne wysyłanie, zanim się zastrzelił?

– Z komputera zlokalizowanego w Berlinie? – zapytał Urbanek, dodając: – Herr Vogel?

– Na przykład.

– Dobrze, skończmy te gierki. – Funkcjonariusz westchnął nieco teatralnie. – Wiemy już, że to był pan. Jak pan zdobył te materiały i przy czyjej pomocy, to już inna sprawa.

– Zdobyłem je sam, korzystając z materiałów mojego ojca oraz pomocy prywatnego detektywa z Niemiec. Dodałem dwa do dwóch i wyszło mi cztery. Wynik wysłałem do osoby, którą uznałem za właściwą, zdając sobie sprawę, że może z tym zrobić wszystko. Na przykład zawiadomić was. Chodziło mi również o ochronę rodziny pułkownika Jaskólskiego. Sugestie, że korzystałem z pomocy funkcjonariuszy innych służb albo robiłem inne nielegalne rzeczy, włożyłbym między bajki. Działalem w granicach prawa. Może pan to potraktować jako moje oświadczenie, dalsza rozmowa na ten temat będzie prowadzona w obecności mojego prawnika, mecenasa Popławskiego. Mogę do niego od razu zadzwonić, jeśli pan sobie życzy.

– Myślę, że na razie nie ma takiej potrzeby. – Urbanek zaczął oglądać swoje dłonie, a potem znów spojrzął na Vogla i zapytał: – Co pan sobie myślał, wysyłając ten list do redakcji?

– Podjąłem taką, a nie inną decyzję i jestem gotowy ponieść jej konsekwencje.

– Nie jest pan gotowy, zaręczam panu, panie Vogel.
– Nie ma pan pojęcia, na co jestem gotowy, a na co nie.
– Dobrze, jak pan uważa. Przejdźmy więc do sprawy szaleńca. Na razie jedynym związkiem między tą sprawą a sprawą pułkownika Jaskólskiego jest pseudonim „Misza”. Dość nietypowy, ale ponieważ póki co nie mamy się czego chwycić, badamy ten wątek, przyjmując to jako hipotezę śledczą. W pańskich materiałach opisał pan Jaconia oraz jego przeszłość dość szczegółowo. Czy jest coś, czego pan w nich nie zawarł, a co mogłoby nam pomóc odnaleźć tego człowieka?

– Będzie wam bardzo trudno go odnaleźć – mruknął Vogel. – Zapewniam pana.

– To już nasz kłopot. Niech pan odpowie na moje pytanie.

Vogel nabrał głęboko powietrza, odwrócił głowę i popatrzył na Iwonę. Jej usta rozciągnęły się w leciutkim, ledwo zauważalnym uśmiechu, ale oczy pozostały smutne. „Dawaj”, mówiły.

– Kiedy widziałem się z nim ostatni raz... Najprawdopodobniej go zraniłem.

– W jaki sposób?

– Strzeliłem do niego. – Vogel powiedział to, patrząc Urbankowi prosto w oczy.

– Strzelił pan? A mogę wiedzieć z czego? Ton głosu Urbanka wyrażał uprzejme zainteresowanie i coś jeszcze. Vogel był prawie pewien, że ten wie, jakiej odpowiedzi się spodziewać.

– W czasie szarpaniny na mojej łodzi, która w tamtym momencie już płonęła w wyniku podpalenia, strzeliłem do

niego z broni, którą znalazłem w sejfie swojego ojca – powiedział beznamyślnie. – Niestety, nie miałem pewności, jak skutecznie. Słyszałem tylko okrzyk bólu, a potem on zniknął, a ja musiałem martwić się o siebie.

– Rozumiem... Coś jeszcze?

– To wszystko. – Vogel wzruszył ramionami.

Urbanek w zamyśleniu pokiwał głową.

– No dobrze, skoro twierdzi pan, że to wszystko...

– Tak twierdzą.

Wzrok Urbanka poweselał.

– Gratuluję pewności siebie.

– Dziękuję – odparł Vogel bez zmruczenia oka i choćby cienia uśmiechu.

Cielecki poruszył się za swoim biurkiem.

– W takim razie ja również dziękuję za spotkanie – powiedział. – Jutro o ósmej odbędzie się u nas narada z udziałem moim, funkcjonariuszy komendy wojewódzkiej, ABW reprezentowanej przez pana majora oraz prokuratora okręgowego. Pana Vogla i panią komisarz również zapraszam, proszę też o punktualne przybycie. Do widzenia.

To był jasny sygnał, co mają teraz zrobić. Obydwoje wstali i wyszli z gabinetu. W sekretariacie Iwona skinęła głową sekretarce, która w międzyczasie wróciła, a Vogel poczuł na sobie jej ciekawskie spojrzenie. Wyszli przed budynek i wsiedli do samochodu. Kiedy jechali w milczeniu do Iwony, nagle zadzwonił jej telefon.

– Cielecki – mruknęła, zerkając na wyświetlacz, i odebrała. – Tak, szefie?

Przez chwilę słuchała, a potem odsunęła komórkę od ucha i włączyła tryb głośnomówiący.

– Już – rzuciła gdzieś przed siebie, kładąc ją w przegródce między fotelami.

– Cielecki z tej strony – usłyszeli. – Chciałem zamknąć jeszcze naszą sprawę, przynajmniej chwilowo.

– Słucham... – powiedział Vogel, uznając, że to jednak bardziej jego sprawa niż Iwony.

– Bardzo ładnie pan się zachował względem pani komisarz przed Urbankiem, ale nie ręczę, że to coś da.

– Może będziemy się tym martwić później? – zasugerował Vogel. – Nie wiadomo, jaki kolejny numer odpieprzy Misza, jeśli okaże się, że to on. Proponuję, żebyśmy na razie skupili się na tym.

– Dobrze, przyjmuję do wiadomości. To zagrożenie porządku publicznego i niewykluczone, że ABW będzie chciała przejąć tę sprawę w całości. Okaże się po spotkaniu. W każdym razie widzimy się jutro.

– Do zobaczenia – powiedział Vogel. – I... dziękuję – dodał po chwili wahania.

– Nie ma pan za co dziękować. Nie mogę niczego obiecać. Pomijając, że to dotknie również mnie w sposób, którego nie jestem jeszcze w stanie przewidzieć. Może wyglądam na oazę spokoju, ale w środku się gotowałem i chcę, żebyście obydwójcie o tym wiedzieli. Do widzenia.

– Do widzenia – powiedzieli w tym samym momencie.

Kiedy zajechali na Arkońską, Vogel wyłączył silnik i spojrzął na Iwonę.

– Zamówię taksówkę i znajdę jakiś nocleg.

– Chyba zwariowałeś. – Iwona roześmiała się. – Prześpisz się u mnie, nie ma sensu, żebyś brał hotel. I chyba nie chcę teraz być sama. Ty też pewnie nie?

Vogel zapatrzył się w blok, w którym mieszkała.

– Nie sądzę – stwierdził w końcu. – W takim razie chodź, podjedziemy jeszcze do sklepu po zakupy, zrobię ci na kolację krewetki.

Iwona uśmiechnęła się.

– Nasza pierwsza wspólna kolacja na twojej łodzi, pamiętasz? – zapytała.

Pokiwał głową i ścisnął jej rękę.

– Wyjdziemy z tego, Iwona – powiedział, choć w jego głosie nie było śladu wesołości. – Jak zawsze.

– Skoro tak mówisz... – westchnęła.

Vogel odpalił silnik i ruszył w stronę „Stokrotki”.

Lato 2023. W jednym ze szczecińskich sklepów spożywczych ktoś podkłada żywność dla dzieci zatrutą rtęcią. Tragedii udaje się uniknąć, bo sprawca ostrzega policję zawczasu, nie przedstawiając jednak żadnych żądań. Zamiast tego przesyła do komendy wojewódzkiej zdeformowany pocisk z informacją dla pewnej osoby. Jest nią Heinrich Vogel. Dość szybko staje się jasne, że to Misza, koszmar przeszłości Vogla i jego dawny współwięzień. Vogel razem z Iwoną Banach i zespołem śledczych powołanym do wytropienia szaleńca ruszają za nim w pościg. Tylko czy na pewno tym szaleńcem jest Misza?

Vogel i Banach muszą poznać całe życie Miszy, bo gdzieś w przeszłości mogą znaleźć klucz do rozwiązania zagadki i odpowiedzi na wiele pytań, z których każde zaczyna się tak samo: „dlaczego?”. Choć sytuacja z zatrutą żywnością nie powtarza się więcej, giną kolejne osoby związane w jakiś sposób z Miszą. Trwa nerwowa gra o wysoką stawkę. O tę najwyższą gra sam Vogel, który wie, że spotka Miszę na mecie. Nie wie tylko, czy będzie zwycięzcą, czy pokonanym.

KIEDY RODZI SIĘ ZŁO?

CZY MA GRANICE?

cena 47,90 zł

mrocznastrona.pl
wydawnictwofilialia.pl



FILIA MROCZNA
STRONA

ISBN 978-83-8357-997-9



9 788383 579979